GRAHAM

MASTERTON

UPADŁE ANIOŁY

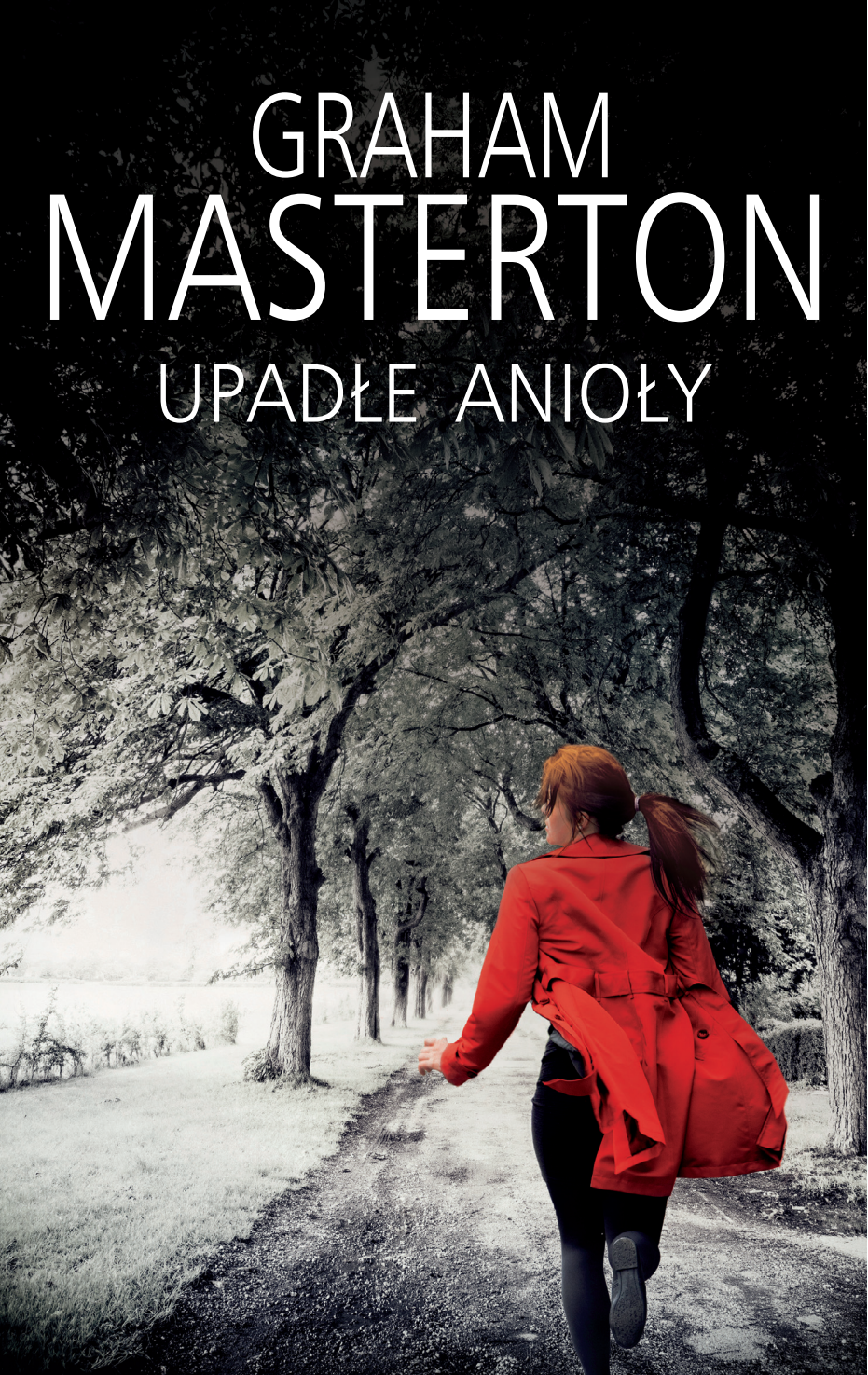

Rozdział 1

Najpierw pomyślał, że to plastikowy worek na śmieci, który jakiś podróżnik wrzucił do rzeki, pełen brudnych pieluch albo uduszonych szczeniaków.

— Cholera — przeklął pod nosem.

Zwinął żyłkę, a potem zaczął brodzić po płyciźnie w tamtą stronę, opierając wędzisko na ramieniu. Jego zdaniem rzeka Blackwater była święta. Po raz pierwszy przywiózł go tu ojciec na połów czawyczy, kiedy miał osiem lat, i od tamtej pory wędkuje tu co rok. Była to najlepsza rzeka w Irlandii i nie wrzucało się do niej śmieci.

— Denis! — zawołał Kieran. — Gdzie idziesz, chłopie? Nawet kataru tam nie złapiesz, a co dopiero marnego łososia! — Jego głos poniósł się echem po szklistej powierzchni wody, zupełnie jakby krzyczał w dużej sali koncertowej. Pośród drzew na przeciwległym brzegu wiał wiatr i po cichu mu przyklasnął.

Denis nie odpowiadał. Kiedy zbliżał się do czarnego worka na śmieci, coraz bardziej oczywiste stawało się, że wcale nie jest to plastikowy worek. Kiedy dotarł do niego, uświadomił sobie, że to ludzkie ciało, od stóp do głów ubrane w czerń. Sutanna księdza, z pozoru.

— Jezu — sapnął i ostrożnie odłożył wędkę na brzeg.

Mężczyzna leżał na boku na wąskiej mierzei z kamyków, z nogami w połowie zanurzonymi w wodzie. Najwyraźniej ręce miał związane na plecach; nogi też, w kolanach i kostkach. Twarz była odwrócona, ale Denis poznał po rzedniejących siwych włosach, że ma około sześćdziesiątki. Wyglądał na otyłego, lecz Denis przypomniał sobie, że kiedy jego ojciec umarł, ciało leżało w mieszkaniu w suterenie w Togher prawie przez tydzień, zanim ktokolwiek je znalazł. A jak potężnie opuchł — zupełnie jak jasnozielona maskotka Michelin.

— Kieran! — zawołał. — Dawaj tu i patrzaj na to! Trupa tu mam!

Kieran zwinął żyłkę i podszedł płycizną, rozpryskując wodę. Miał czerwoną twarz, ogniste loki i piegi, oczy wąsko osadzone i tak intensywnie błękitne, że wyglądał prawie jak wariat. Był szwagrem Denisa, osiem lat młodszym; nie mieli ze sobą nic wspólnego poza zamiłowaniem do łowienia łososi, ale dla Denisa ten układ był idealny. Łowienie łososi wymagało głębokiego skupienia i ciszy.

Połów łososi zbliżał człowieka do Boga bardziej niż modlitwa.

— Święta Matko Boska — powiedział Kieran, stając przy Denisie obok ciała, po czym się przeżegnał. — Po mojemu to ksiądz. — Zamilkł i dodał po chwili: — On nie żyje, co?

— Och, nie, uciął sobie drzemkę w rzece. Pewnie, że nie żyje, idioto.

— Lepiej wezwijmy policję — rzekł Kieran, wyciągając komórkę. Już miał wystukać 112, kiedy zawahał się z palcem zastygłym nad klawiszami. — Hej... nie pomyślą, że to my go zabiliśmy, co?

— Po prostu zadzwoń po nich — polecił mu Denis. — Gdybyśmy to zrobili, nie kręcilibyśmy się tu jak para ciuli, co

nie?

— Nie, masz rację. Dawno już dalibyśmy dyla.

Kiedy Kieran dzwonił na policję, Denis kręcił się ostrożnie wokół ciała, chrzęszcząc woderami po kamykach. Mężczyzna miał otwarte oczy i wpatrywał się w wodę, jakby nie potrafił pojąć, co tutaj robi, ale nie było cienia wątpliwości, że nie żyje. Denis przykucnął obok niego i uważnie mu się przyglądał. Wyglądał znajomo, chociaż Denis nie od razu skojarzył dlaczego. To przez te zmierzwione białe brwi i te rdzawoczerwone, popękane żyłki na policzkach, a przede wszystkim z powodu charakterystycznej bruzdy na czubku bulwiastego nosa. Dolną wargę miał pękniętą, jakby ktoś bardzo mocno go uderzył.

— Gliny już jadą — oznajmił Kieran, podnosząc telefon komórkowy. — Powiedzieli, żeby niczego nie ruszać.

— Och, tak, jakbym miał ochotę. Przyjdź tu. On już zaczyna śmierdzieć.

— Dopiero co zjadłem kanapki, dzięki. Z tuńczykiem i pomidorem.

Obaj stanęli obok ciała, nie całkiem wiedząc, co powinni teraz zrobić. Powrót do wędkowania wyglądałby na brak szacunku, chociaż od czasu do czasu kątem oka Denis dostrzegał błysk srebra w wodzie. Miał nadzieję, że złapie swoją pierwszą czawyczę, a warunki były idealne.

— Kto go zabił, jak myślisz? — zagadnął Kieran. — Ktokolwiek to był, najpierw nieźle obił mu gębę.

Denis przekrzywił głowę na bok, żeby po raz kolejny przyjrzeć się twarzy mężczyzny.

— Wiesz co? Zdaje się, że go znam. Jest sporo starszy niż ostatnim razem, kiedy go widziałem, jeżeli to on, ale musi być, bo to było przynajmniej piętnaście lat temu.

— Więc kto to jest?

— To chyba ojciec Heaney. A nawet jestem pewien, że to on. Wtedy miał czarne brwi. Zawsze mi się wydawało, że to dwa wielkie, czarne, włochate pająki. No wiesz, tarantule. Teraz nie ma okularów, ale wszędzie rozpoznałbym gościa.

— Skąd go znasz?

— Ze szkoły. Uczył muzyki. Lubił obijać dzieciaki, to na pewno. Nie było lekcji, żeby nie pacnął cię w ucho za byle co albo po prostu za nic. Mówił, że śpiewam jak skrzypiące drzwi.

Kieran pociągnął nosem i wytarł go w rękaw.

— Wygląda na to, że ktoś jego obił dla odmiany.

Denis nie odpowiedział, ale stojąc w rzece obok martwego ciała ojca Heaneya i słuchając wiatru szepczącego pośród drzew, miał wrażenie, jakby cofnął się w czasie. Niemal usłyszał szkolny chór śpiewający *Kyrie eleison* słodkimi, przeszywającymi powietrze głosikami, tupot pędzących nóg na korytarzu i głos ojca Heaneya wyszczekujący: „Powoli, O'Connor! Nie trafisz do nieba szybciej, jak będziesz biegł!".

Rozdział 2

Katie otworzyła oczy i zobaczyła Johna stojącego przy oknie. Jedną ręką rozsuwał zasłony w róże i spoglądał na pola.

Poranne słońce oświetlało jego nagie ciało tak, że wyglądał jak malowidło średniowiecznego świętego, zwłaszcza że od kiedy poznał Katie, zapuścił ciemne kręcone włosy. Na piersi też miał ciemny krucyfiks włosów. Teraz, po półtorarocznej pracy na gospodarstwie, zrobił się szczuplejszy i o wiele bardziej muskularny.

— Jesteś dzisiaj taki zamyślony — powiedziała Katie, wspierając się na łokciu.

John odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej zupełnie niedostrzegalnie. W słońcu jego brązowe oczy przypominały lśniące agaty.

— Patrzyłem na młody jęczmień, to wszystko.

— I co właściwie sobie myślałeś?

Puścił zasłonę i podszedł do łóżka. Stanął obok niej, jakby chciał jej powiedzieć coś ważnego, ale kiedy spojrzała na niego, milczał i tylko uśmiechał się do niej.

Podniosła się nieco i ujęła go lewą ręką, delikatnie głaszcząc penis opuszkiem palca wskazującego prawej dłoni.

— Ten owoc już wygląda na dojrzały — kusiła go. — Może

dasz mi go posmakować?

Parsknął rozbawiony, ale wtedy pochylił się i pocałował ją w głowę. Potem usiadł obok. Ona jeszcze przez chwilę głaskała jego penis, ale on delikatnie schwycił ją za nadgarstek i powstrzymał.

— Muszę coś ci powiedzieć, Katie — wyznał. — Chciałem to zrobić wczoraj wieczorem, ale tak dobrze się bawiliśmy.

Katie zmarszczyła czoło.

— O co chodzi? No, John, teraz mnie martwisz. Nie chodzi o twoją matkę, prawda?

— Nie, nie. Z mamą wszystko dobrze. Lekarze nawet powiedzieli, że będzie mogła wrócić do domu za tydzień lub dwa.

— W takim razie co?

Miał już odpowiedzieć, kiedy jej komórka zagrała pierwsze trzy takty *The Fields of Athenry*.

— Poczekaj chwilę — poprosiła i sięgnęła do nocnego stolika, żeby odebrać telefon. — Komisarz Maguire. Kto mówi?

— Detektyw O'Sullivan, pani komisarz. Przepraszam, że przeszkadzam. Ale wezwano nas do Ballyhooly, bo dwaj wędkarze znaleźli w rzece ciało.

— Na co to wygląda? Wypadek, samobójstwo czy morderstwo?

— Morderstwo, nie ma wątpliwości. Cały był związany jak indyk i uduszony.

— Kto dowodzi?

— Sierżant O'Rourke na razie. Ale uważa, że powinna pani przyjechać i to obejrzeć.

— Och, na miłość boską, sam sobie nie da rady? Dzisiaj mam wolne. To mój pierwszy wolny dzień od tygodni.

— Sierżant O'Rourke naprawdę uważa, że musi to pani zobaczyć. Poza tym ktoś powinien porozmawiać z prasą.

Mamy tu ekipę RTÉ News i Dana Keane'a z „Examinera", a nawet jakąś dziewczynę z „Catholic Recorder".

Katie sięgnęła po zegarek i sprawdziła godzinę.

— Dobra, Paddy. Daj mi piętnaście minut.

Zatrzasnęła komórkę i wyskoczyła z łóżka.

— Co się stało? — spytał John.

— Obowiązki wzywają, jak myślisz? Ktoś znalazł ciało w Blackwater. Z jakiegoś powodu Jimmy O'Rourke chce, żebym przyjechała i osobiście obejrzała to miejsce.

Włożyła bokserki z białej satyny, które zostawiła na drewnianym krześle obok łóżka, a potem zapięła stanik.

— Mam cię zawieźć? — zapytał John.

Katie naciągnęła zielony golf, a jej krótkie rdzawe włosy sterczały jak koguci grzebień.

— Nie, dzięki, to może się ciągnąć godzinami. Ale zadzwonię, jak będę mogła. Aha, co takiego chciałeś mi powiedzieć?

John pokręcił przecząco głową.

— Nie martw się. To może poczekać, aż wrócisz.

Zapięła rozporek ciasnych czarnych dżinsów i zamki wysokich botków na szpilkach. Potem przeszła do łazienki i przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze nad umywalką.

— Jezu, patrz, jakie mam worki pod oczami! Ktoś mógłby pomyśleć, że spędziłam noc na orgii!

— Bo spędziłaś — odparł John.

Obserwował ją, jak nakłada makijaż i bladoróżowy błyszczyk. Zawsze uważał, że Katie wygląda, jakby była daleko spokrewniona z elfami — z tymi zielonymi oczami, wysokimi kośćmi policzkowymi i lekko wydętymi ustami. Miała niespełna metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, ale wielką osobowość. Bardzo dobrze rozumiał, dlaczego udało jej się zostać pierwszą w historii kobietą komisarz w Cork. Rozumiał też, dlaczego

zakochał się w niej tak nieodwracalnie.

Wyszła z łazienki i pocałowała go.

— Co powiesz na kolację u Luigiego Malone'a dzisiaj wieczorem, jeżeli nie skończę zbyt późno? Śmiertelnie stęskniłam się za jego małżami.

— Nie wiem. Może. — Ale wtedy pomyślał: Przy kolacji, to będzie właściwa pora, aby jej powiedzieć.

Owinął się w granatowy frotowy ręcznik i odprowadził ją boso do wyjścia. Katie odwróciła się i pocałowała go raz jeszcze.

— Uważaj na siebie — powiedział jak zawsze. Potem patrzył, jak idzie przez pochyłe podwórko, a obok niej truchta jego biały podpalany owczarek szkocki Aoife. Katie wsiadła do hondy i posłała mu ostatniego całusa, zanim odjechała.

Rozdział 3

W drodze do Ballyhooly puściła *Glorię* Guillaume'a de Machauta w wykonaniu Chóru Sierocińca Świętego Józefa z ich płyty *Elements*. Śpiew był tak przejmujący, tak czysty i intensywny, że ją podbudowywał. Śpiewała razem z nimi, tak samo wysoko jak chłopcy, ale paskudnie fałszowała. Pomimo przestępstw, z którymi miała do czynienia na co dzień — przemocy, handlu narkotykami, prostytucji i pijackich burd — *Gloria* przypominała jej, że naprawdę musi istnieć niebo, mimo wszystko.

Jechała Lower Main Street, aż dotarła do skrętu na Carrignavar. Droga była wąska, a po obu stronach biegł szary kamienny mur porośnięty bluszczem. Jednak było pusto i nie widziała żadnych oznak życia, aż dojechała do wiejskiego domu około pięciu kilometrów dalej. Na trawiastym poboczu przed bramą gospodarstwa zaparkowano rzędem siedem lub osiem samochodów, a na podwórku migały niebiesko światłami jeszcze trzy wozy patrolowe, dwie policyjne furgonetki i karetka pogotowia.

Policjant skierował ją przez bramę i otworzył drzwi samochodu. Gdy wysiadła, sierżant O'Rourke przyszedł się z nią przywitać, niosąc parę dużych zielonych kaloszy. O'Rourke

był niskim mężczyzną o żółtych jak piasek włosach, z grubo ciosaną głową, która wydawała się zbyt duża w stosunku do reszty ciała.

— Będzie pani ich potrzebować — powiedział.

— Jaki to rozmiar?

— Dziesięć. Ale chyba nie chce pani brodzić w rzece w szpilkach?

Usiadła na fotelu kierowcy, rozpięła swoje botki z czarnej skóry i założyła gumiaki. Były olbrzymie, a kiedy zaczęła w nich iść, głośno klapały.

— Jaka jest sytuacja, Jimmy? — spytała, idąc za sierżantem dookoła domu. Gospodarz, jego żona i dwóch nastoletnich synów stali razem na frontowej werandzie, gapiąc się na policjantów. Katie pomachała do nich i zawołała: „Wszystko w porządku? Przepraszamy za kłopot!”, ale oni nie odpowiedzieli. Wyglądali na rodzinę źle dobranych gargulców.

— Co za banda brzydali — zauważył sierżant O’Rourke.

— Ależ, Jimmy. Szanuj przeciętnych obywateli, proszę.

Szli razem przez pastwisko, które schodziło do samej rzeki, a wiatr delikatnie szeptał w wysokiej lśniącej trawie. Kiedy zbliżyli się do brzegu, ujrzeli czarno odziane ciało leżące na boku na płyciźnie. Dwóch techników kryminalistyki kucało w wodzie obok niego w bladozielonych kombinezonach i robiło zdjęcia. Kolejnych trzech policjantów w mundurach i dwóch sanitariuszy rozmawiało z ekipą telewizyjną i dwoma reporterami na brzegu. Nieco dalej stało dwóch mężczyzn z wędkami i papierosami oraz trzech małych chłopców.

Sierżant O’Rourke wskazał wędkarzy.

— Tych dwóch tam... to oni znaleźli ciało. Jeden z nich twierdzi, że wie, kim jest denat... albo jest w miarę przekonany w każdym razie.

— Naprawdę?

— Jego zdaniem to ksiądz z parafii w Mayfield, ojciec Heaney. Zdaje się, że nauczał muzyki w Szkole Podstawowej Świętego Antoniego jeszcze w latach osiemdziesiątych.

— Dobrą ma pamięć ten twój gość.

— Nic dziwnego, jeżeli to on. Ojciec Heaney był jednym z dwunastu księży w diecezji Cork i Ross, którzy przed siedmiu laty byli podejrzani o wykorzystywanie seksualne dzieci. Uczył chłopców muzyki? Gry na flecie? Nic dziwnego.

— Postawiono mu jakiś zarzut?

— Kazałem sprawdzić O'Sullivanowi. Wniesiono jedenaście skarg na ojca Heaneya. Niestosowne zachowanie pod prysznicem, tego rodzaju rzeczy. Prokurator nie podjął jednak dalszego śledztwa, ponieważ to wszystko działo się dawno temu.

— Ale dlatego przyjechała tu prasa? Z powodu podejrzeń o molestowanie?

— Po części.

— Czego nie chcesz mi powiedzieć, Jimmy?

Zszedł do rzeki i podał rękę Katie, aby pomóc jej podążyć za nim. Woda była lodowata, nawet przez gumowce. Sierżant O'Rourke brodził przed Katie, która uważała, żeby nie zgubić kaloszy. Kiedy dotarli na miejsce, dwaj policjanci z ekipy technicznej wstali i cofnęli się o kilka kroków. Jeden z nich był siwy, dobrze po czterdziestce. Drugi pewnie ledwo skończył szkołę.

— Rzeczywiście wygląda na księdza — stwierdziła Katie, pochylając się nad ciałem. — Ma przy sobie jakiś dowód tożsamości?

— Nic, pani komisarz — odpowiedział młodszy technik. Miał rzadkie blond wąsy i tak ognistoczerwony trądzik, że wyglądał, jakby został trafiony prosto w twarz ze śrutówki. — W kieszeniach znaleźliśmy tylko różaniec i paczkę mocnych miętówek.

— W każdym razie troszczył się o to, co ważne — zauważył sierżant O'Rourke. — O duszę i oddech.

— Macie jakieś domysły na temat przyczyn śmierci? — zapytała Katie. — Nie żeby wyprzedzać ocenę doktora Reidy'ego, oczywiście.

Starszy z techników odchrząknął.

— Jedna z dwóch lub trzech rzeczy, moim zdaniem. Albo ich połączenie. Został uduszony bardzo cienkim drutem, który zakręcono mu na karku na rączce łyżki stołowej. Takim samym drutem związano mu nadgarstki i kostki. Ale równie dobrze mógł się wykrwawić na śmierć albo umrzeć w wyniku szoku.

To powiedziawszy, pochylił się nad ciałem księdza i przewrócił je na plecy. Lewa ręka denata plusnęła do wody. Technicy rozcięli druty, które pętały go w kolanach i kostkach, a potem rozpięli mu sutannę aż do pasa.

Nie miał na sobie bielizny. Zwiotczały członek leżał na grubym białym udzie, ale pod penisem, gdzie powinny znajdować się jądra, ziała czarna dziura.

— Mój Boże — jęknęła Katie. Pochyliła się i uważniej przyjrzała ranie.

— Ktokolwiek to zrobił, najwyraźniej użył nożyc ogrodniczych — stwierdził starszy technik. — Widać to po lekkim nacięciu w kształcie litery V w kroczu, gdzie ostrza naszły na siebie.

— Chryste Panie, nie do wiary — odezwał się sierżant O'Rourke. — Na samą myśl zbiera mi się na płacz.

— To nie wydarzyło się tutaj — kontynuował technik. — Nie jest już w pełni zesztywniały, więc prawdopodobnie nie żyje od trzech dni. Domyślam się, że został uduszony i wykastrowany gdzie indziej i podrzucony tutaj wczoraj późną nocą.

— Co pani sądzi? — spytał sierżant O'Rourke. — Zabity

z zemsty przez kogoś, komu się naprzykrzał jako nauczyciel muzyki? Ostatnio pojawiła się cała masa artykułów o wykorzystywaniu dzieci, prawda? Przeprosiny papieża i tak dalej. Może ktoś żywił do niego urazę przez te wszystkie lata i uznał, że już pora coś z tym zrobić.

— Hm... może masz rację — odparła Katie, prostując się. — Ale nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków. Może zabójca po prostu go nie lubił z jakiegoś niejasnego powodu. Pamiętacie tę sprawę sprzed dwóch lat w Holyhill? Tę młodą kobietę, której mąż zmarł na raka, a ona zadźgała proboszcza nożyczkami, bo twierdziła, że jego modlitwy były nieskuteczne?

— Jest paru księży, którym po mojemu należy się porządne pchnięcie nożem, mówię wam — wyznał sierżant.

Katie zwróciła się do starszego technika:

— Możecie go odesłać do patologa, kiedy skończycie. Chyba widziałam już, co trzeba.

— Zanim pani odjedzie... Znalazłem pewien interesujący szczegół — powiedział. Uniósł dwa kawałki miedzianego drutu, którymi związano nogi księdza. Końcówki zostały zaplecione w zgrabne podwójne pętle, jak skrzydła motyla.

— To dość szczególne, prawda? — zauważyła Katie. — Czy jakaś konkretna profesja używa takich zakończeń?

— Nie wiem, ale popytam.

— Dobrze.

Katie przebrnęła przez wodę, a detektyw O'Sullivan podał jej rękę i pomógł wydostać się na brzeg. Natychmiast podeszła do niej ekipa telewizyjna z RTÉ — Fionnuala Sweeney, śliczna rudowłosa dziewczyna w jaskrawozielonej wiatrówce, w towarzystwie nieogolonego kamerzysty — a także Dan Keane z „Examinera", z czerwonym nosem i w typowym dla siebie raglanowym prochowcu, oraz młoda blada kobieta o okrągłej twarzy, kruczoczarnych lokach i wydatnym pieprzyku na

górnej wardze. Katie wydawało się, że to reporterka „Catholic Recorder”. Miała bardzo duże piersi, a zakrywała je ponchem wielkim jak namiot.

Fionnuala Sweeney wysunęła mikrofon.

— Komisarz Maguire! Czy zgodzi się pani odpowiedzieć na kilka pytań?

— Pozwólcie, że najpierw ja zadam wam jedno pytanie — odparła ostro Katie. — Kto dał wam cynk o znalezieniu ciała?

Fionnuala Sweeney zamrugała gwałtownie powiekami, jakby Katie śmiertelnie ją ugodziła.

— Pani komisarz, nie mogę tego powiedzieć. Dobrze pani wie. Muszę chronić moich informatorów.

— Och, nie bądź taka święta, Nuala — rzucił Dan Keane, zapalając papierosa. — Sam dostałem cynk, ale ten, kto dzwonił, nie przedstawił się, a ja oczywiście nie rozpoznałem jego głosu. W zasadzie trudno mi powiedzieć, czy była to kobieta, czy mężczyzna. Raczej jakaś przerażająca ropucha, prawdę mówiąc.

— W takim razie dobrze — zgodziła się Katie. — Pytajcie, o co chcecie, ale nie mogę za wiele powiedzieć, nie w tak wczesnej fazie.

— Wasi świadkowie zidentyfikowali zmarłego jako ojca Dermota Heaneya z Mayfield — zaczęła Fionnuala Sweeney.

— Bez komentarza. Bez względu na to, co powiedział wam świadek, my nie mamy pewności, kto to jest.

— W dwa tysiące piątym ojciec Heaney był jednym z księży, których podejrzewano o wykorzystywanie dzieci.

— Też o tym słyszałam. Ale o ile mi wiadomo, prokurator nie podjął śledztwa przeciw niemu, a to może nie być on. Jakie jest pytanie?

— Chcę się tylko dowiedzieć, czy rozważacie możliwość, że jedna z ofiar ojca Heaneya szukała zemsty za to, co zrobił?

Albo co rzekomo zrobił?

Katie uniosła dłoń.

— Słuchaj, Fionnuala, daj spokój. Jeszcze nie ustaliliśmy tożsamości denata w stu procentach. Może to nawet nie jest ksiądz, na razie nie wiadomo. A jeżeli nawet jest to ojciec Heaney, nie mamy dowodów na to, kto mógł chcieć go zabić ani jakie miał motywy. Na tym etapie mogę jedynie powiedzieć, że bardzo dokładnie przeszukamy ten teren i przesłuchamy wszystkich, którzy mogli zauważyć coś niezwykłego. Jeżeli któryś z gapiów uważa, że może nam pomóc w identyfikacji ofiary i kogokolwiek, kto pragnął jej krzywdy, to jak zwykle będziemy wdzięczni.

— Wiadomo, jaka była przyczyna śmierci? — spytała Fionnuala Sweeney.

— Co do tego również nie mamy jeszcze pewności. Główny patolog doktor Reidy lub jeden z jego dwóch zastępców przeprowadzi sekcję, gdy tylko będzie to możliwe.

Dziewczyna z pieprzykiem sepleniła.

— Ciara Clare, pani komisarz, z „Catholic Recorder". Jeżeli denat okaże się księdzem, skonsultujecie się z diecezją, aby załatwić to w jak najdyskretniejszy sposób, prawda?

Katie zmarszczyła czoło.

— Nie bardzo rozumiem pani pytanie — odparła.

— Kościół przechodził ostatnio bardzo ciężki okres — powiedziała Ciara Clare. — Biskup prosił wiernych o wybaczenie minionych błędów, jak pani wiadomo. Ja tylko sugeruję, że to czas na leczenie, a nie skandale.

— Słucham? Czy ja dobrze słyszę, co pani chce powiedzieć?

— Martwi mnie jedynie, że to morderstwo może wywołać niepotrzebną sensację. To znaczy wydaje się prawdopodobne, że wasz denat został zamordowany z zemsty przez ofiarę molestowania seksualnego, a to mogłoby zachęcić inne ofiary

do wzięcia sprawiedliwości we własne ręce. Nie chcemy, aby atakowano księży, bez względu na to, czego dopuścili się w przeszłości.

— Za dużo gdybania — odparła Katie. — Jak powiedziałam, stawiamy krok po kroku. To, że denat ma na sobie sutannę, niczego jeszcze nie dowodzi. Może szedł na bal przebierańców.

Dan Keane wyjął papierosa z ust i zakaszlał niczym szczekający pies.

— Został jednak wykastrowany, prawda? To by wskazywało na jakiś motyw seksualny.

— Przepraszam, Dan. Będziemy musieli poczekać na raport patologa, aby dowiedzieć się, jakie faktycznie odniósł obrażenia.

— Nie trzeba patologa, by stwierdzić, że facetowi jaja obcięli. Wasi wędkarze widzieli to na własne oczy. Wykastrowany, sami to powiedzieli.

— Hm, na razie wolałabym, aby zachował to pan dla siebie. Pani też, proszę, Fionnuala. I pani...

— Nie jestem pewien, czy dam radę, pani komisarz — powiedział Dan Keane. — To najlepsza część całej historii, nie sądzi pani? „Ojciec traci ojcostwo”.

— Dan... — oburzyła się Katie. — Chce pan, abym dalej współpracowała w tej sprawie, czy nie?

Dan wydmuchnął dym i znowu zakaszlał.

— Dobrze, pani komisarz. Powstrzymam się na razie, przynajmniej dopóki nie otrzymacie raportu patologa. Ale jeśli to wyjdzie z jakiegoś innego źródła, będę musiał podjąć temat.

Katie wróciła do samochodu i zrzuciła wielkie zielone kalosze, aż potoczyły się po trawie. Kiedy wciągała na powrót skórzane botki, sierżant O’Rourke podszedł do niej i oparł się o drzwi samochodu.

— Kazałem sprawdzić całą okolicę i szukać śladów opon, stóp i wszystkich innych dowodów. Pola, ścieżki, koryto rzeki.

Wszędzie. Zaczęliśmy już chodzić po domach w Ballyhooly i przyległych dzielnicach. Ktoś musiał coś zauważyć.

— Dziękuję, Jimmy. Bądź ze mną w kontakcie. Z jakiegoś powodu ta sprawa mnie niepokoi. Kiedy Kościół jest w coś wplątany, nigdy nie ma oczywistego kłamstwa, co? Ale nigdy nie dostaje się też oczywistej prawdy. Tylko dymy, kadzidła i lustra.